

Nazywam się Władysław Puch z domu Stanisz, córka Stanisława i Marii. Urodziłam się 27.III. 1928 r. w miejscowości Jakubówka, pow. Zaleszczyki, woj. Stanisławów. Pochodzę z bardzo licznej rodziny - poza rodzicami było nas trzynaścioro dzieci. Najstarszy brat - Józef w chwili wybuchu wojny był już w wojsku, przeszedł ze swoim oddziałem granicę i potem walczył pod Monte Cassino.

Urodziłam się w Jakubówce ale później rodzina przeniosła się do Poniatowej. Była to kolonia, w której mój ojciec otrzymał ziemię z parcelacji dla kolonistów. Ojciec zawsze interesował się polityką, już jako legionista otrzymał Złoty Krzyż Zasługi a potem został prezesem Związku Osadników na Podolu. ^{w pow. Zaleszczyki} Obok tego, że mieliśmy duże gospodarstwo posiadaliśmy także sklep.

17 września 1939 r. /była to niedziela/ kiedy ludzie wracali z kościoła, czyli około godziny dwunastej, wkroczyli sowieccy żołdaci. Nie było już wtedy żadnej łączności, nie działało radio. Brat mój już z daleka wypatrzył szlak przez lornetkę czołgi z gwiazdą. Wojska Polskiego nie było, przekroczyło już granicę rumuńską. Gdy weszli do kolonii - a każdy żołdak był obtargany, brudny, z karabinem na sznurku - to był spokój, nikogo nie zabijali. Ale już w następnych dniach zaczęły się rewizje. Mój ojciec posiadał krótką broń, miał na nią zezwolenie jako prezes Związku Osadników. Przyszli po nią drugiego albo trzeciego dnia po wkroczeniu, przypuszczam, że Ukraińcy podali informację, iż mamy broń. Ojciec prosił, żeby mu wystawiono zaświadczenie o konfiskacie. Jednak żaden z nich nie umiał po polsku i nie rozumieli o co ojcu chodzi, a ojciec z kolei ich nie rozumiał. Ojciec bardzo dobrze znał niemiecki i zapytał czy umieją po "german-sku". Jak oni to usłyszeli to postawili ojca pod ścianę i zagrozili, że go rozstrzelają. Jednak w końcu pojawił się jakiś lejtnant i wystawił zaświadczenie. Mimo tego jeszcze kilkakrotnie przychodzili do nas po tę broń.

Słyszałam, że inne wsie Ukraińcy palili, że zabijali ale u nas

panował spokój. Być może dlatego, że na tej dużej /ponad pięćdziesiąt rodzin/ kolonii zamieszkiwały także trzy rodziny ukraińskie. Pamiętam, że w listopadzie Ukraińcy przyszli do ojca i powiedzieli: -"Bardzo nam jest przykro panie Stawisz ale musimy panu zabrac połowę majątku". Mój ojciec odpowiedział: -"No trudno, skoro ma pan taki rozkaz", bo jeden z nich został "głową" /przewodniczącym/ sowieckiego komitetu. Ta jego kariera trwała krótko, bo w lutym jak nas wywozili to ich też zabrali.

10 lutego 1940 r. o godzinie 5 rano Sowieci otoczyli nasz dom, następnie załadowali nas na sanie /o 6 lub 7 rano/ i powieźli nas na odległą o 15 km stację w Orwolinie. Na stację przywieziono nas w nocy, bo była straszna pogoda. Mroz 27 stopni a zasy takie, że konie wpadały po uszy. Załadowali naszą rodzinę i to samo zrobili z całą kolonią. Kiedy dojechaliśmy na stację zobaczyliśmy, że zwieźli tam ludzi z całej okolicy. Między innymi wywieziono całą Jakubówkę, też dużą polską osadę. Do wagonów ładowano nas późną nocą, mówili, że będziemy jeszcze powtórnie przechodzić rewizję osobistą. Ojciec mój miał przy sobie Złoty Krzyż Zasługi, bał się, że mogą go rozstrzelać jak to znajdą i wyrzucić Krzyż w śnieg. Były same drobne dzieci, najmłodsza siostra nie miała jeszcze dwóch lat jak nas wywozili a przez dwa dni nie dostaliśmy żadnego jedzenia ani picia. Zdrapywało się więc śnieg z dachu wagonu i to się lizało. Ciasnota była okropna, bo w jednym wagonie bydłowym było 40-45 osób. Dopiero po przekroczeniu granicy w Kopyczyńcach i po przyjeździe do Kijowa dostaliśmy po wiadrze wody na wagon i sparzony jęczmień. Ziarno było nieoczyszczone, ostre nie do jedzenia, szczególnie dla małych dzieci. Wieźli nas w zaplombowanych wagonach, które otwierano raz na dwa dni, kiedy dawali nam wodę. Gdy jechaliśmy to koło transportu pojawiali się Ruscy i pytali się czy nie mamy tytoniu. Wołaliśmy "Chleba!" a oni, że "toż nie imiejut", bo też dostają na przydział. Obraz kraju był okropny - na

Obraz kraju był okropny: na polach leżały stopy zarośniętego zboża, buraki. Ojciec, który był po szkole rolniczej kąpał się za głowę, widząc, że może być taka gospodarka. Dopiero wtedy zrozumiał co to jest komsuna.

Po przeszło miesięcznej podróży przywieziono nas 19 marca do stacji Aban, za Nowosybirskiem, na Zachodniej Syberii. Tam nas wyładowano z wagonów i zaprowadzono do byłej cerkwi, która była przerobiona na klub. Wszystko tam było zniszczone, zdewastowane, pokamane - odbywały się tam tańce. W tej cerkwi nocowaliśmy, dali nam tam gorącej wody i po maleńkim kawałeczku chleba, przecież nie było u nich wtedy jeszcze wojny a już głód okropny wśród ludności.

Z Abanu powieźli nas w głąb tajgi, do Kalucza /po polsku: kołaje miejsce/, powiat /rajon/ Szytkin, województwo /oblast/ Irkuck. Tam nas wyładowali i dali komendanta. Stało tam kilka baraków a rodzin ponad 500. Sami Polacy. Nie było tam nic do jedzenia, ani w ogóle nic. Ludzie strasznie chorowali, już w czasie podróży wielu umarło. Panował tyfus i biegunka więc ludzie prosili o lekarze, o lekarstwa, tłumaczyli, że umierają starcy i dzieci. Następnego dnia przywieźli z odległości 20 czy 40 km felczerkę i w jednym z baraków zrobili przegład. Ludzi było tam tak wielu, że leżeli ściśnięci jak śledzie, bo dla wszystkich prycz nie starczyło. Na nich leżeli tylko chorzy z temperaturą. Jak ktoś miał np. biegunkę, to lało się z niego po tych wszystkich leżących na ziemi, bo ustępów tam oczywiście też nie było i za potrzebą szło się poza baraki. Woni była nie do wytrzymania. Środkiem zrobili przejście, tamtędy szła felczerka z komendantem - ludzie wołali o leki a ona podniosła rękę i powiedziała: - "Niczewo, niczewo, przykniiesz, kak nie przykniiesz to padachniiesz kak sobaka". To mi tak utkwilo w pamięci, że nawet teraz kiedy leżę i myślę o tamtych czasach - to mam ją przed oczami.